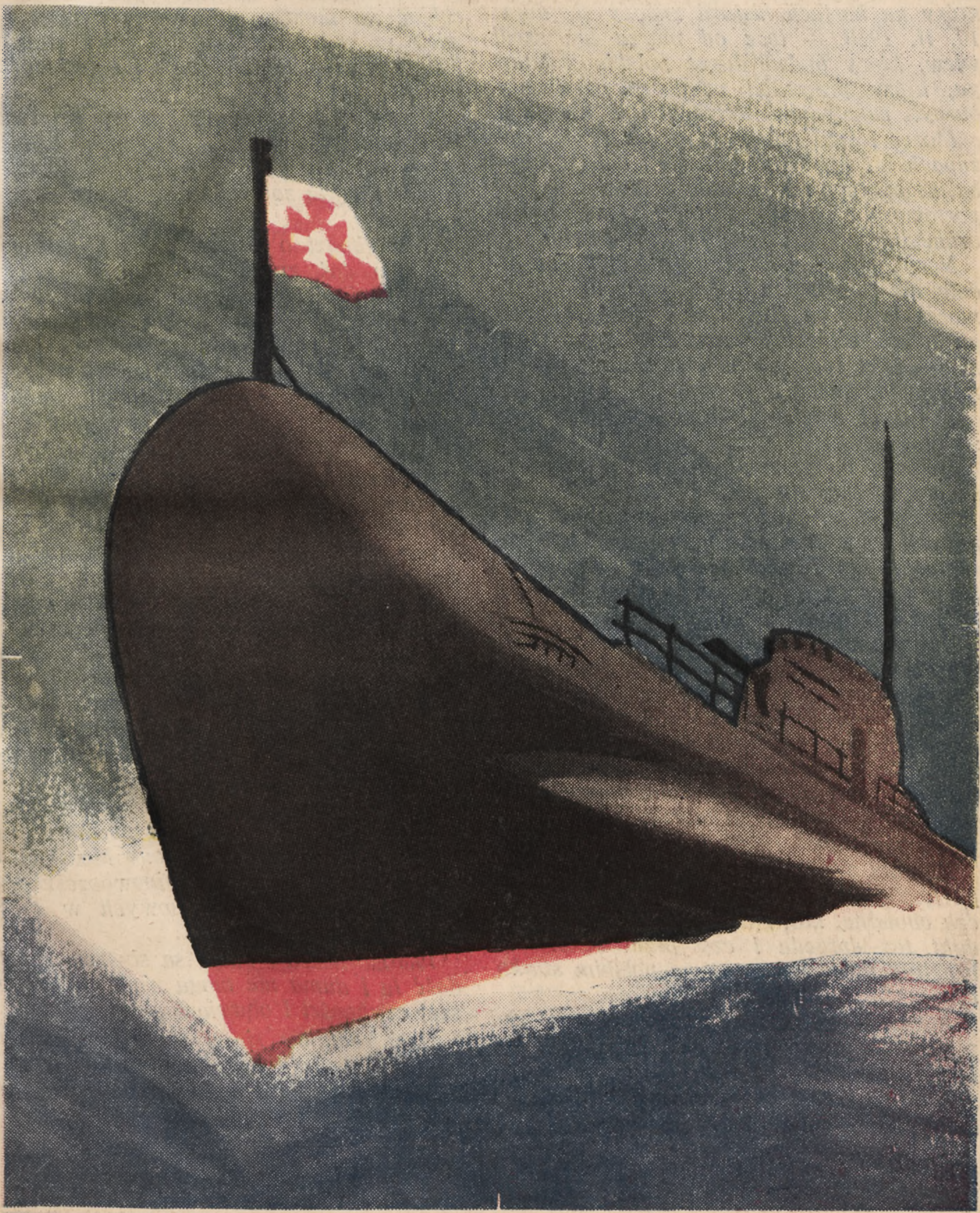
WYDANIE A

POLSKA NA MORZU

PISMO LIGI MORSKIEJ i KOLONIALNEJ

Nr 2 | WARSZAWA, LUTY 1939 ROKU | ROK VI



10. II. 1920

Sądzony był nam dzień, kiedy nad polskim brzegiem powiały polskie proporce.

Nie na masztach okrętów, nie ze szczytów portowych budowli, lecz na lancach ułańskich furkotały w pamiętny ów dzień, który na kartach historii znaczy się datą: 10. II. 1920 — lecz od morza już szedł wiew, który budził dusze polskie z letargu, który przewalał odwieczne przesądy, burzył rumowisko uprzedzeń i niewiary.

Morze leżało odłogiem — ale szedł odeń zapach już nie tylko soli, ale i chleba, chleba nie pługiem i broną, ale czerpakami dróg portowych i nawami statków z morza wyoranego.

Naród polski dojrzał, by nie tylko na lądzie, ale i na morzu być włodarzem. Z nadmorskich wydm, torfowisk i piachów dźwignęła się żelazobetonowa, kamienna Gdynia — jako realny symbol dni nowych, odmiennych, nadchodzących...

Z Gdyni bandera polska poniosła się w świat.

Dziś ją na wszystkich niemal morzach świata spotkać można.

W cieniu tej bandery, w obrębie mol portowych i murów Gdyni-miasta, wyrasta nowe pokolenie ludzi, pracą swych rąk i wysiłkiem myśli tworzących nową, morską rzeczywistość w odrodzonej Polsce.

Ale do stworzenia potęgi na morzu nie wystarczy garść ludzi żyjących bezpośrednio na morzu czy przy morzu. To wymaga wysiłku wszystkich obywateli kraju, wymaga pracy i ofiarności całego narodu.

Nie tylko przemysłowiec i kupiec, ale i chłop, rzemieślnik, robotnik muszą rozumieć swoje interesy na morzu, czy w związku z morzem.

Produkt pracy robotnika, plon pracy chłopa jedzie w świat, za morze i nie jest rzeczą obojętną, kto, gdzie i za jaką cenę produkt ten sprzeda i czy przewieziony on będzie z polskiego portu na polskim statku, czy też przez obce przejdzie ręce.

Rozumieć znaczenie morza, korzyści zeń płynące — może każdy, nie tylko ten, kto je dzień w dzień ogląda.

A gdy się coś rozumie w pełni — wyciągnąć należy z tego pełne konsekwencje.

Dziś już w Polsce wszyscy znamy i doceniamy pożytki z morza płynące. Dziś morze nie jest już dla nas, jak dawniej, bezużytecznym ugorem.

Dziś chcemy i umiemy coraz lepiej zarabiać na morzu, ale robimy bardzo niewiele w tym kierunku, aby sobie możność i bezpieczeństwo tej pracy na zawsze zapewnić.

Dziwiłby nas człowiek, który by swego bardzo dochodowego, ogromnie cennego warsztatu pracy nie chronił przed pożarem, przed wszelką zatratą, który by go nie asekurował.

Gdy chodzi o morze, o źródło zarobku, ale i o coś znacznie więcej, — jedyną, prawdziwie wolną drogą na świat — nie myślimy dostatecznie usilnie, nie działamy dostatecznie skutecznie, by dla tych rzeczy stworzyć wystarczającą asekurację, by stworzyć potężną flotę wojenną, mogącą skutecznie strzec naszych interesów i naszej wolności na morzu.

A wszak jedynie silna flota wojenna może temu zapobiec, by nas nie ściśnięto za gardziel i tchu wolności nie zabrano, by brzeg nasz morski był wolny i droga w świat stała otworem.

Wprawdzie nasza flota wojenna rozwija się stale, wprawdzie od chwili objęcia w swe władanie brzegu morskiego zrobiliśmy bardzo wiele, ale to wszystko jest jeszcze za mało w stosunku do koniecznych potrzeb.

Wysiłkom Rządu polskiego przychodzi z pomocą społeczeństwo — oto w dniu 10-tym lutego bieżącego roku zawita do Gdyni „Orzeł" — okręt podwodny powstały z dobrej woli, z ofiarności społeczeństwa.

Zbiórka na Fundusz Obrony Morskiej dała piękny wynik: — najnowocześniejszy, największy z dotychczasowych w Polsce okręt podwodny.

Radość nasza i duma są słuszne. Ale radość ta i duma nie mogą uśpić naszej dalszej czynności i obowiązku.

Dziś radujmy się z faktu powiększenia naszej floty, ale jutro troszczmy się o jej dalszy rozwój, i kładźmy realne podstawy pod jej dalszą rozbudowę.

Czasy, w których żyjemy, są osobliwe. Przeżywamy wstrząsy i przełomy, których rozmiaru i znaczenia może nawet w pełni nie rozumiemy. Jesteśmy na ostrym wirażu, na raptownym zakręcie historii — jakie perspektywy za chwilę ukażą się naszym oczom, tego nie wiemy. Ale rzeczą ludzi mądrych i przezornych jest przygotować się na najgorsze, by nie być zaskoczonym, oszołomionym i pobitym.

Wiemy, że cały świat się zbroi, wiemy, że szykuje się nowa, może stokroć gorsza od poprzedniej, zawierucha wojenna.

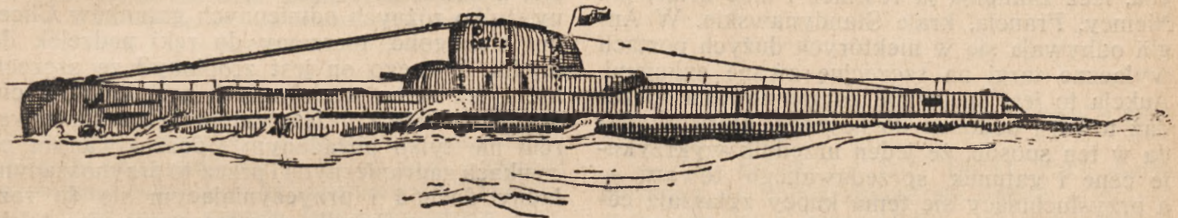
Polska może będzie brać w niej udział lub nie. Ale i w jednym i w drugim wypadku ostoi się wszelkim huraganom i burzom, gdy będzie mocna i czujna, zabezpieczona nie tylko od strony lądu, ale i morza.

Wysiłki nasze dobrowolne w kierunku rozbudowy floty wojennej są rzeczą piękną i niezmiernie pożyteczną — ale my, którzy lepiej od innych rozumiemy grozę sytuacji i znaczenie siły zbrojnej na morzu musimy być tymi, którzy postawią przed oczyma całego narodu obowiązek stałych, nie dobrowolnych tylko i dorywczych świadczeń na rzecz rozbudowy floty.

Wiemy, że ciężka to rzecz i przykra — sięgać do kieszeni obywatela, w której tak niewiele jest grosiwa — ale sięgać poń wtedy, gdy płonąć już będzie nasz dom, nasza Rzeczpospolita — będzie zapóźno.

Oto mija lat dziewiętnaście, gdyśmy objęli w swe posiadanie morze własnym troskliwym ramieniem. — Pod jego osłoną ożyło pustkowie, zaludnił się brzeg, zaroiło statkami morze.

Teraz uzbrójmy to ramię niezłomnym puklerzem floty wojennej, by nie nadszedł dzień, w którym huk wrażych armat zburzy to nasze dzieło, owoc przeogromnych wysiłków i trudu. *B. M.*



Okręt podwodny „Orzeł"

Morze przynosi pieniądze

Aby rozwinąć należycie naszą potęgę na morzu, musimy bez przerwy coraz bardziej rozbudowywać nasze wybrzeże morskie, zamieniając je niemal całe na wielki port, mający zaplecze w postaci wielkiej, potężnej Polski. Musimy budować w dalszym ciągu statki towarowe — którymi nasze bogactwa towarowe mogłyby wędrować na dalekie rynki świata, żeby zarabiać na ożywionej wymianie towarowej z innymi krajami. W tym celu konieczna jest staranna i umiejętna gospodarka wewnątrz kraju — trzeba uważać, by najdrobniejsza rzecz się nie zmarnowała. Dlatego też należy obserwować kraje zagraniczne nadmorskie, patrzyć, jakie towary one mają, jakie wywożą, a jakie przywożą.

Czasem zdaje nam się, że jakiś towar ma bardzo małą wartość — tak że nie warto nawet zwracać na niego uwagi, a tymczasem okazuje się, iż z wywozu jego można ciągnąć duże dochody. Tak jest np. z ubocznymi produktami uboju. Z ubitego zwierzęcia mamy jeszcze oprócz mięsa inne produkty, które umiejętnie zużytkowane stanowią poważną pozycję dochodową. Kto by na przykład pomyślał, że szczecina ze świni stanowi cenny artykuł wywozowy, sięgający milionowych sum. Tutaj należy nadmienić, że takie kraje nadmorskie jak Dania, Anglia i Stany Zjednoczone mimo, iż chowają też trzodę chlewną i to np. Dania w dużej ilości, szczecinę z niej mają bardzo marną i w dodatku lichej wartości. Dlaczego? Otóż dlatego, że gatunki świń szlachetnych ras chowanych w tych krajach mają skórę albo pokrytą szczeciną bardzo rzadką i cieniutką, albo też są zupełnie szczeciny pozbawione i skóra ich jest całkiem naga. Świnie hodowane natomiast u nas są bliższymi krewniakami żyjącego jeszcze po lasach dzika. Mają też one, zwłaszcza na wschodzie Polski, bardzo obfity porost szczeciny na skórze, przy tym najmocniejsza, najsztywniejsza i najdłuższa znajduje się wzdłuż grzbietu zwierzęcia. Ile szczeciny na wagę może być z jednej sztuki? Najczęściej

średnio ze sztuki bywa 200 gramów, ale może być 400 g, a nawet, w niektórych wypadkach i 600 g. Ze szczeciną przy przygotowywaniu jej do wywozu jest dużo roboty. Najpierw trzeba ją umiejętnie zdjąć ze zwierzęcia, parzona dużo traci na wartości, następnie sortuje się ją według długości i koloru, pierze, siarkuje w piecach dymem siarkowym; potem przebraną i posortowaną, w paczki powiązaną wkłada się do beczek. Beczki są ładowane do wagonów, zawożone pociągami do Gdyni i tam ładowane na okręty płynące do portów dalekomorskich. Wartość surowej szczeciny z jednej sztuki wynosi około 1,5 — 3 zł, natomiast za najlepszą surową wybraną szczecinę z grzbietu można otrzymać 12 — 17 zł za 1 kilogram. Za przerobioną i posortowaną szczecinę za granicą płacą już ceny dużo wyższe i kalkulowane w dolarach, przy czym cena wynosi od 1 dolara do 30 i 40 dolarów za 1 kilogram, zależnie od gatunku. Najdroższym gatunkiem jest szczecina tak zw. srebrno-biała, nazywana często w handlu z niemiecka silberweiss. Odbiorcami najpoważniejszymi szczeciny są Ameryka i Anglia, lecz zakupują ją również i inne kraje, jak Niemcy, Francja, kraje Standynawskie. W Anglii odbywają się w niektórych dużych portach wyłączne targi na szczecinę zwane aukcjami. Aukcja to jest specjalnie zorganizowana sprzedaż towaru podobna do licytacji, która wygląda w ten sposób, że jeden urzędnik wykrzykuje cenę i gatunek sprzedawanego towaru — a przysłuchujący się temu kupcy zgłaszają ceny, jakie są gotowi za sprzedawany towar zapłacić. Targi takie odbywają się w przeznaczonych do tego celu budynkach.

Głównymi i prawie wyłącznymi dostarczycielami szczeciny na rynki światowe są Polska i Rosja, jako kraje mające duże ilości tego towaru. W Polsce są trzy ośrodki przerobu szczeciny: Wilno, Kraków i Międzyrzec, małe 20-to tysięczne miasteczko na Podlasiu. Jest ono największym ośrodkiem przerobu szczeciny, bo ma aż 68 fabryczek, małych warsztatów, przygotowujących szczecinę do wywozu. I prawie cała ludność miasteczka jest związana interesami z przerobem lub handlem szczeciną, albo też pracuje w tamtejszych garbarniach. Ciekawe jest, że Anglia, która ma pewne, zresztą nieduże, ilości szczeciny własnej, nie przerabia jej u siebie w kraju, lecz przysyła ją do przerobu do Polski do Międzyrzecza i dopiero tu przerobiona szczecina już w udoskonalonej postaci wraca do Anglii. Nazywa się to obrót handlowy uszlachetniający, gdyż surowy pierwotny towar przyszedł z zagranicy i w fabryczkach polskich został uszlachetniony, czyli ulepszony rękami naszego robotnika — a potem wraca sobie znów tam skąd przyszedł. Taki obrót uszlachetniający jest dla kraju, gdzie to uszlachetnienie się odbywa, wielce korzystny — ponieważ daje robotnikom pracę, a co za tym idzie zarobek i chleb. I to robotnikowi słabszemu fizycznie, który do ciężkiej pracy nie byłby zdolny, gdyż robota przy sortowaniu szczeciny wymaga uwagi, pilności i staranności, a nie dużych sił fizycznych. Stąd też najczęściej przy tym rodzaju pracy zatrudnia się dziewczęta i młodych chłopców. Ostatnio założono fabrykę przerobu szczeciny w Gdyni. I to jaką fabrykę! Nie przygotowuje się tam tylko uszlachetnionego surowca, który właściwie jest półfabrykatem do dalszego przerobu. W gdyńskiej fabryce szczecina od swojej pierwotnej najbardziej prymitywnej formy jest przetwarzana aż na produkty końcowe, ostateczne — to jest na szczotki, pędzle i szczecinę szewską, którą używają szewcy przy szyciu butów. Powiedziałby ktoś: co tam dużo rozprawiać o szczecinie? — przecież człowiek z tym się rzadko kiedy spotyka. I okazałoby się, że wcale nie ma racji, bo nie ma chyba człowieka, który nie miałby choć raz dziennie w ręku jakiejś szczotki, a wszystkie one zarówno do butów, do ubrania, a nawet do zębów są zrobione ze szczeciny, tylko różnych odmiennych gatunków. Chcemy się ogolić, bierzemy do ręki pędzelek do mydła. Z czego on jest zrobiony? ze szczeciny. I tak samo wiele innych przedmiotów codziennego użytku. Jest zatem szczecina towarem nie tylko pożądanym i poszukiwanym na rynkach zagranicznych i przez to przynoszącym ładny dochód i przyczyniającym się do rozwoju naszego handlu zagranicznego, lecz także surowcem do wyrobu innych pożytecznych towarów w kraju. Szczecina jako towar będzie coraz bardziej drożała, gdyż będzie jej coraz mniej, ponieważ u nas jak i w innych krajach, zwiększa się hodowla nierogacizny ras szlachetnych, a te szczeciny prawie nie dostarczają. Ze szczeciną są spokrewnione włosia z innych gatunków zwierząt.

Tak na przykład sporo też wywozi się od nas włosia końskiego — pochodzi ono z grzyw i ogonów koni. Wartość włosia z długiego, gęstego końskiego ogona wynosi kilkanaście złotych. Takie włosie po starannym wymyciu, wypraniu, oczyszczeniu i posortowaniu ma też bardzo rozliczne zastosowania — z delikatniejszych włosów robione są pędzle malarskie, specjalne płótno krawieckie na wkłady do klap i kołnierzy przy szyciu palt i kurtek, aby dać materiałowi sztywność i elastyczność, aby się przy noszeniu po zmoknięciu np. nie kurczył. Robi się też z niego rozmaite materiały izolacyjne — tam gdzie wchodzi w grę zabezpieczenie przed zbyt szybkim przewodzeniem ciepła lub dźwięku. Wszystkie grube szczotki pokojowe do zamiatania są również robione z odpadków najgrubszych tego włosia końskiego. Najwięcej włosia końskiego dostarczają duże

stadniny końskie — państwowe i prywatne hodowle koni. W takich miejscach znajdują się zwykle kupcy, którzy od razu zakupują całoroczną produkcję włosia, a potem już dostarczają je fabrykom do przerobu i do dalszej sprzedaży.

Dużo gorzej sprawa przedstawia się z włosem z bydła, czyli tak zwaną sierścią bydlęcą. Prawie do ostatnich dwuch lat sierść ta, z wyjątkiem częściowo użytkowanej sierści z ogonów, marnowała się zupełnie. Po prostu stanowi w rzeźniach miejskich i w garbarniach, gdzie jej się większe ilości gromadzą, zupełnie bezwartościowy odpadek. W ostatnich latach jednak już coś się w tym kierunku poprawiło. Niektórzy ludzie dowiedzieli się i przekonali, że ta sierść bydlęca też przedstawia pewną wartość. Spróbowali zbierać ten dotychczasowy odpadek i okazało się, iż można znaleźć na niego chętnego kupca zagranicznego. Wprawdzie na razie ta sierść bydlęca idzie za granicę zupełnie w stanie surowym, w stanie zaledwie wysuszonym, bez żadnej najprostszej choćby obróbki, nie mówiąc o segregowaniu i sortowaniu. To segregowanie i sortowanie musiałoby się odbywać na maszynach, ręczne zupełnie by się nie opłacało. Ceny za taki więc surowy towar na wywóz nie były wysokie i wynosiły od 90 gr do 1 zł za 1 kilogram. Lecz i to już ogromny postęp w porównaniu z poprzednią całkowitą stratą tego towaru. Sierści bydlęcej można by zebrać z 1,5 miliona kilo rocznie najmniej, a więc 1,5 miliona złotych. A przywozimy z zagranicy rozmaite filce i wojłoki wyrabiane tam z bardzo dużym dodatkiem tej właśnie sierści bydlęcej. Wiele jeszcze bogactw u nas niewykorzystanych. Wiele jeszcze strug złota mogłoby się wlać nam do kraju przez gdyńskie wrota—za towar, o którym nie wiemy, że jest towarem. Uczmy się więc szukać i patrzmy dokoła.

Feliks Trojan.

Jakub Bryła

Opowieść sięga czasów przedwojennych. Nie dziwmy się, że nasz bohater pływa pod obcą banderą, i że w opowiadaniu spotykamy obce określenia morskie

Dziwnie układało się życie Jakubowi Bryle. Ojciec jego, Szymon z bogatych, zamojskich chłopów pochodził, ale że to od razu podzielili ojcowiznę pomiędzy dziewięcioro rodzeństwa, więc każdemu z osobna ledwo po osiem morgów przypadło. Szymon pierwszy przystał do drzewnych kupców, co wykupili „cięcia“ nad Wieprzem. Całe zimowe dniówki wyrobił na zwózkach, lub wprost przy waleniu starodrzewu tęgiej, ordynackiej sośniny.

Kupcy znali Szymona i lubili za nadzwyczajną uczciwość i spryt przy robocie, choć był to chłop hardy niezwykle i ich gąb, przeważnie pejsatych nie znosił. Raz zdarzyło się, że potrzeba było człowieka obrotnego do dozoru wyładundu aż w Gdańsku. Podleśny od razu polecił wziąć Bryłę. Kupcy zgodzili się. Ale ba! — Szymon nie chciał się zgodzić.

— Czort was zabierz! — mamrotał przez zrudziałe od machorki wąsy i uparł się, że do Gdańska nie pojedzie. Dopiero baba wyklarowała mu, że głupi i że kiedy grosz łatwo można zarobić, to powinien pojechać. — Tylko Szymek!—nie doj się okpić — przypominała wciskając kropkowaną chustkę z chlebem i serem na drogę. Pojechał odświętnie ubrany, w butach natartych szuwaksem, w kożuchu baranim. Nie było go coś do marca. Już dobrze zielono robiło się po polach, a w lesie ostatnie śniegi tajały w „debrach“, kiedy zjawił się we wsi z powrotem. Sto rubli przyniósł za pazuchą, a co nie naopowiadał o różnościach z tego dalekiego świata!

— Hej, Bożeż Ty mój, Boże! Taka woda ogromna, że końca znikąd nie widać — prawił sąsiadom, — a „parochody“ po niej pływają jak największa kamienica w Zamościu. Tak!... i z żelaza to całkiem!

Sąsiedzi jeno słuchali, jako bajki niezwykłej, ale wierzyli, czemu mieli nie wierzyć:

— ... sto rubli przyniósł!

To był najlepszy dokument inności tamtejszego świata.

Następnej zimy znowu go kupcy zabrali. Tym razem wziął także syna.

— Kuba będzie potrzebny... ma szesnastkę, nie głupi, zarobi grosza... i między ludźmi jeszcze zmądrzeje, — tłomaczył żonie.

Za chłopcem obstawała, nie chciała go dać, że to niby sama z dziewuchą nie uradzi przy gospodarstwie.

— Parobka masz!.. Nie starczy ci? — poruszył się Bryła..

Babę nie tyle tłomaczenie o parobku, ile raczej chytrość na ruble przekonała. Chlipała, bo chlipała, jednak nie obstawała już więcej.

Tym razem Szymona dłużej nie było. Wreszcie zjawił się sam, markotny, bez syna. Wyłożył na stół sto dwadzieścia rubli.

— Gdzieżeś to Kubę podział? — z przestrachem spojrzała mu w oczy.

— Poczekoj!... Zaraz! — ciężko usiadł na

ławie, zciągnął kurtę, rzucił na poręcz od łóżka.

— No, prędzej! — przynaglała kobieta.

— Został w Gdańsku, — mruknął ponuro chłop.

— W jakim Gdańsku!?

— Na okręcie popłynął jucha! — wybuchnął.

Szymonową aż poderwało. Skoczyła do męża.

— I tyś mu pozwolił?!.. Ty lebiego! Ty niedołęgo jedna!...

Szymon nic nie odpowiedział, siedział chmurny, jakby jeszcze ciężej mu się zrobiło od winy, przytłaczającej sumienie. A żona wciąż mu skakała nad głową. Wreszcie ochrypła, zmęczyła się krzykiem, siadła obok Szymona.

— Jezus, Jezus. — chwilę jeszcze jęczała — gdzie on tego dzieciaka wytaszczył!? Gdzie wytaszczył!? — Nagle umilkła, otarła oczy. — Gadaj Szymek, jak to było — szepnęła niemal cicho.

Bryła podniósł niechętnie głowę, skrzywił się lekko.

— Nijak nie było! -- mruknął — Ja nic nie widziałem. Ludzie tylko gadali, że lazł pokryjomu na okręt. Później tylem go widział, — tu Szymon pokazał figę na palcu. — „Parochoda" rano nie było. W nocy gdzieś przepadł.

— Może się utopił?

— Et! — zaprzeczył machnięciem ręki Bryła. — Ludzie widzieli, jak odpłynął.

Jakoż istotnie chłopak zablindował się. Cichcem zmówił się przedtem z kucharzem z niemieckiego statku „Stralsund" i basta! Nocą wyszli trampowym rejsem dokoła na Ost Afrikę. Można by było szukać potem statku, jak wiatru w polu. Do Biskai siedział w skrytości pod dolnym pokładem. Kucharz donosił mu jadło. Poczciwy to był Poznańczyk, widział, jak chłopcu paliło się na wodę. Sam go skrył, pod warunkiem, że się do niego nie przyzna.

— Jak wyjdziesz na Atlantyk, to ci dam znać. Tam cię nie pogonią na ląd! Najwyżej po pysku dostaniesz... — i machnął ręką, jakby chciał zaznaczyć, że to zwykły obrządek względem zablindowanych.



Za Brestem „Stralsund" wpakował się w okrutny sztorm. Telepało statkiem, jak w febrze. Tylko, że maszyny były silne, więc lazł naprzełaj poprzez burzową kotłowaninę, nurzając się jeno zdrowo w słonym piekle Biskai. A tam, w dole, między pakami żelastwa leżał zmordowany niemal do cna Kuba. Całe trzewia wynicowała mu zupełnie telepanina i na dobitek brakło świeżego oddechu. Było mu już wszystko jedno, czy go kto zobaczy, czy go obiją. Mogą wrzucić do morza, byle tylko nie siedzieć w ciasnocie i zaduchu. Zebrał się ostatnim wysiłkiem i chwiejąco uniósł się na rękach... Dobrnął przykrywy lukowej, przydusił ją. W tej samej chwili statek machnął na burtę i odrzucił go precz, z powrotem. Chwilę przeleżał zmęczony i od nowa jął sunąć tą samą drogą. Podparł się teraz mocniej plecami. Wieko uniosło się. Buchnęło mu w twarz ostre ómachnięcie wiatru i słone zapryski fal.

— O Boże, jakże t: lepiej! — westchnął szeptem. Tuż nad głową posłyszał jakieś kroki. Zrobiło mu się dziwnie czegoś strach Chciał cofnąć się. Było zapóźno. Wyciągnęli go na pokład i zataszczyli przed wachtowego oficera. Skoczył na niego z miejsca wrzeszcząc niemieckie przekleństwa. Kazał natychmiast prowadzić do kapitana.

— Herr Kapitän... — meldował grubym basem marynarz, popychając do przodu Kubę.

Kapitan niewiele się wzruszył. Zamamrotał coś przez grube cygaro i kazał wypytać chłopca, skąd się tu wziął? Kuba nie rozumiał, co do niego gadali. Stał milczący przy ścianie kabiny, trzymając się mocno rękami wymacanej niemal na ślepo listwy. Za każdym kiwnięciem „Stralsundu" odpadał do przodu takim ruchem, jakby chciał kapitana zdzielić „bykiem" w brzuch.

— Daj go kucharzowi — obojętnie zakończył całą sprawę kapitan.

Kuba i tego nie zrozumiał. Wnet znalazł się w kuchni twarzą w twarz z grubym Poznańczykiem. Kucharz od razu jął go okładać solidnymi wyzwiskami i nawet do bicia się brał. Teraz chłopak zgłupiał naprawdę. Spojrzał grubasowi z wyrzutem w twarz.

— Co jeszcze się patrzysz!? — wrzasnął kucharz po niemiecku, pokazał kubeł z kartoflami, po czym rzucił chłopcu nóż. Kubie w głowie się ciemno zrobiło i przed oczami płaty czarne latały od morskiej choroby, ale zasiadł do obierania. Tak mu się żal ogromnie zrobiło tej tutaj obecności między obcymi ludźmi i strach taki na niego szedł od każdego kolebnięcia „Stralsundu", że prawie na płacz mu się zbierało.

— Bożeż, Bożeż Ty mój! — jęczało mu coś w środku — pocóżem ja tu wlazł! — I nagle

złość go taka chwyciła na samego siebie, na kupców, co dali ojcu robotę w świecie, na szwabów, na ten ich cały statek, już najwięcej na samego kucharza.

— Bodajś pękł! — mruczał pod nosem... — niedoczekanie twoje, z pierwszego lepszego miasta pójdę se precz piechotą! — i jakby dla podkreślenia gwałtownie powziętej decyzji jął tak szybko i ostro obierać kartofle, że łupina niemal na palec gruba do kubła.

— Wolnego, wolnego! — rozległ się tuż nad jego głową huczący głos kucharza.

Kuba wzdrygnął się, ale udał, że go nic więcej prócz kartofli nie obchodzi.

— No, co się boczysz? — śmiał się kucharz, — musiałem przy Szwabach udawać, że cię pierwszy raz widzę... wsiedliby inaczej na mnie. — Nagle umilkł.

Przez drzwi zajrzał znowu ten sam marynarz, co przyprowadził Kubę. Kucharz z obojętną miną odwrócił się do niego. — Polnische Knabe! — rzekł, pokazując na chłopca

— Ja? — zdziwił się marynarz, wyjął fajkę z gęby i strzyknął śliną. Pogadał jeszcze chwilę i znowu wykolebał się dalej.

— No i co?... Wszystko fertig! — zaśmiał się znowu kucharz. — Ale ba? — wytrzeszczył oczy na Kubę, — co ty myślisz, że łupiny będę gotować, czy środek?

Kuba zmiarkował się; jął zaraz godziwie obierać. Ukradkiem zerknął w stronę kucharza. Zetknęły się ich spojrzenia. Już w oczach chłopca strachu ni złości żadnej widać nie było. Jakoś ten grubas z roześmianą gębą wydał mu się naprawdę dobry. Nawet i przewalanie statku jakby mniej dokuczało. Wraz z ciepłem od rozgrzanej blachy kuchennej płynęło dziwne ciepło i do niedawno jeszcze przerażonej duszy. O już całkiem raźno skrobało się teraz ziemniaki.

Po południowym posiłku miał sporo roboty z zabrudzonymi statkami. Wymorusał się przy nich rzetelnie, ale kucharz orzekł, że „klar“ jest niezgorszy. Dodało mu to jeszcze więcej ducha. Około wieczora przypomniał go sobie kapitan.

— Przyprowadź mi „blindę“! — mruknął w przejściu kucharzowi.

Grubas zaniepokoił się. Przyparł do kuchni.

— Masz iść do „starego“... Tylko ani pary z gęby, że mię znasz!

— Ja nie umiem ich mowy — zauważył wolno Kuba.

— Nic! tam taki długi „steuermann“, rozumiesz?... — śpiesznie tłomaczył kucharz, — umie po polsku. A teraz jazda, prędko! — chwycił chłopca za ramię i popchnął do przejścia. Obijali się pomiędzy wąskimi ścianami, bo sztorm znowu się wzmógł. Przed samą kapitańską kabiną Kuba zatoczył się, bryznął plecami wprost w drzwi i wpadł z hukiem do środka na fotel. Kucharz syknął i podrapał się z wrażenia w głowę. Przystanął przed rozmajdanymi drzwiami i miarkował, czy wejść do środka, czy lepiej zwiać. Zaparł dech i przez moment nadsłuchiwał. Ale „stary“ rozmawiał spokojnie.

— Z kim on gada? — zastanowił się. — Wil? Nie! Max. Przytrzymał trochę drzwi, zajrzał do kabiny. Kapitan siedział tyłem. Przy stole stał Max — sternik, Kuba trochę z boku.

— Pewnie statkowe sprawy obgadują — przemknęło mu przez głowę.

Ostrożnie więc wsunął się i stanął tuż przy chłopaku. Stali tak dobrą chwilę. Wreszcie kapitan odwrócił się. Popatrzył na nich, puścił z cygara kilka kłębów dymu, pogłaskał się po brodzie, zmrużył oczy.

— No, jak, zadowolonyś z tego tu? — zapytał pokazując ruchem głowy na Kubę?

Kucharz przytaknął.

— Skąd on się tu wziął? — pytał dalej kapitan.

— Z Dancigu! — skwapliwie z odpowiedzią pośpieszył kucharz.

— Pewnie, że nie z morza! — zniecierpliwił się stary.

Grubas zwrócił się do Kuby, popytał go, po czym podał kapitanowi nazwę wioski i najbliższego miasta. Znać niewiele mu to wytłumaczyło, bo wzruszył ramieniem i przykazawszy chłopca krótko trzymać, powiedział, że mogę sobie odejść. Kucharz zadowolony z takiego obrotu sprawy skinął na Kubę i czym prędzej wynieśli się na pokład.

Odtąd chłopca nikt o nic nie wypytywał. Był do pomocy kucharza i już! Załoga składa-



ła się z samych starych nadłabskich mruków. których poza wachtą nic więcej nie obchodziło, więc i na chłopca nie zwracali uwagi. Wiedzieli tylko, że był, to im wystarczało.

Któregoś tam z rzędu dnia przybyli do Wysp Kanaryjskich, do Santa Cruz. To był dla Kuby pierwszy poza Gdańskiem port. Rozdziawił szeroko oczy i nie mógł zrozumieć, co się dokoła działo. Takie jakieś dziwaczne drzewka dokoła po brzegu, niby sosny starodrzewne, podskubane z całego odziomka aż hen pod sam wierzch i krze okwiecone gęsto, zupełnie nieswojskie i inni ludzie.

— Cygany! — zawyrokował głośno, wychyliwszy się przez burtę. A do statku akurat przybijało kilka łodzi z krajowcami. Nim kto się spostrzegł z załogi, już jak małpy powdrapywali się na pokład.

— Raus! — opędzał się chropawym głosem bosman. — Ale nie było rady. Oblegli go dokoła, podsuwając trzcinowe kosze z owocami aż pod same usta. I ten stary mruk nie wytrzymał, śmiał się szeroko, serdecznie, może pierwszy raz od nie wiem jak dawna i brał soczyste, bursztynowe daktyle w szorstkie garście, brał płaskie, słoneczne mandarynki, brał krzywe rogale bananów i ciskał je kolejno między załogę.

— Trzym Haus!... trzym Frid!... trzym Ogust!... — rozlegało się raz po raz sponad kosza.

Kubie wypadła cała ogromna kiść daktylowa. Urwał jeden owoc, posmakował, były świetne, rozgrzane słońcem, same niemal cisnęły się do ust. Zaraz więc po wyładunku żelaznej drobnicy, zapragnął dotknąć z bliska owego lądu, co takie szczodre smaczności dawał krajowcom. Wymknął si ęsam, ostrożnie, wyminął portowy basen, nadbrzeżne budynki i ruszył prędko wzdłuż morza. Było już po południu. Słońce zniżało się mocno nad wysokie garby Tenerify, ciągnąc długie cienie od nadbrzeżnych palm. Morze niezwykle spokojne ledwo czasami zaspeniło niemal niedostrzegalną falą. Zdawało się leniwie uśpione dziennym żarem. Śmiało rzec było można, że nie wodny Atlantyk, jeno zaklęty bezmiar niebieskawego szkła roztaczał się wokół. W pewnym miejscu brzeg przechodził w sporą stromiznę, obejmującą zielenią lasku niby pięściwym ramieniem kawał wtargniętego w ląd słonego zalewu. Kuba ciekawie rozejrzał się dokoła. Tuż obok sterczała, daleko z otaczającej zieleni, gałąź pokryta gęsto jaskrawymi kulami pomarańcz.

— Hę! — zdziwił się i ucieszył o wiele więcej, niżby całą rodzinę prawdziwych grzybów odnalazł.

Podskoczył do góry, nagiął mocno do siebie i obrywał jedną po drugiej, tak szybko i sprytnie, jakby był w cudzym sadzie na jabłkach. Wnet pohamował się.

— Przecież nijakich płotów tu nie ma, — pomyślał, — bardziej niczyje to, niż ordynackie jagody! — Wziął w garście kilka mniej przejrzałych, siadł na stromiznie, spuściwszy w dół nogi i począł zdzierać skórę. Trochę były przejrzałe i gąbczaste, bo do grudnia za mocno już je wyprażyło słońce. Ale jadło się Kubie jeszcze niczego, nawet kilka utrafiło się niezgorzej soczystych.

— Nieźle tu mają, — rozważał swoim chłopskim rozumem — i na dziczkach takie ot rosną... bez dozoru? — dziw go brał serdeczny.

Ostatniej pomarańczy nie mógł już dojeść. Podsunął nogi na stromiznę i rozłożył się, podparłszy głowę rękami. Zachciało mu się od razu tu zostać.

— Niech że Szwaby same płyną! — zadecydował znagła. Bez nich będzie mi dobrze! I tak jakoś przyczepiła go się uparcie ta myśl zostania, że za nic nie chciało mu się wracać na „Stralsund".

Tymczasem słońce już całkiem zalazło za ląd i szybko jęło się ściemniać. Między drzewiną przewinął się lekki, ciepły wiatr. Raz i drugi pociągnął ostrzej, przygnał na leżącego słodki zapach jakiegoś kwiecia. Kubie z lekka zachciało się zdrzemnąć. Zaciążyły mu mocno powieki. Sam się nie spostrzegł, kiedy już spał. Coś tam mu się majaczyło. Trochę chałupa ojcowa, trochę pokład „Stralsundu", wreszcie Gdańsk i biskajskie sztormy. Nagle jakby tuż przy uszach rozległ się mocny szum. Chłopak rozwarł szeroko zaspane oczy, wsparł się szybko na rękach, spojrzał trwożnie przed siebie, zrozumiał. To morze szumiało na głazach przyboju. Jakież ono dziwnie piękne teraz. Całe zalane srebrem miesiąca, gotujące żywymi łuskami fal, rozmigotane, rozgaworzone przedziwną swoją odwiecznie jednakową mową. W pewnej chwili Kuba uniósł się jeszcze bardziej na rękach, wpatrzył w morską dalekość. Hen w klinie poświaty miesiąca łyskał żagielkami jakiś odległy stateczek. Już to nikł, już to wyłaniał się całym swoim zarysem. Widać kolebał się trochę na niespokojnej fali. Kubie przypomniał się od razu „Stralsund" i gruby kucharz - poznańczyk i własna koja na dziobie i kolejno wszystkie, niemieckie mrukliwe „zejmany". Od razu wydał mu się ląd trochę za sztywny, trochę za martwy. Wstał. A morze już całkiem na dobre rozgaworzyło się, rozszumiało potężnie, jakby chciało przypomnieć się wszej żywej istocie. Gdzieś hen w Santa-Cruz zachichotał sygnał syreny statkowej.

— „Stralsund"! — wykrzyknął Kuba i poderwał się żywo do portu. Nic to, że pachniały jeszcze bardziej kusząco kwiaty po krzach, że

kaktusy czepiały się kolkami odzienia, że jakaś nowa drzewina pomarańczy łysnęła okrągłym owocem! Gnał szybko, sadząc przez głazy pobrzeża, omijał większe stromizny, taplał się w zmoczonym falami piachu, ale parł do pokładu, parł, ile miał sił w nogach. Między domostwami zdało mu się, że zbłądził. Przystanął, poznawał drogę niemal jak pies instynktem. Nagle z lewej ręki znowu zadźwięczała syrena. Skręcił na miejscu, kopnął się galopem. Kogoś potrącił, kogoś innego odepchnął i tak oto sam się nie spostrzegł, kiedy zdyszany wypadł na samą bakburtę „Stralsundu". Trapu już nie było. Chwycił więc za manillową cumę i jak małpa w kilku podrzutach już był na pokładzie. Odsapnął... Nie stracił statku!

Tak oto znów płynął w inne światowe cuda.

B. Domaniewski

Polska Marynarka Wojenna

Mija dwadzieścia lat od chwili, gdy Pierwszy Marszałek Polski, Józef Piłsudski rozkazał organizować Polską Marynarkę Wojenną. Dwadzieścia lat, w których przeżyliśmy najpierw ciężkie chwile wojny z Sowietami, następnie lata gorączkowej odbudowy zrujnowanego w czasie wojen lat 1914 — 18 i 1918 — 20 państwa, wreszcie lata rozbudowy polskiej siły zbrojnej — wojska i marynarki wojennej.

W przeciwieństwie do wojska, posiadającego bardzo dawne tradycje i miłość całego narodu — rozbudowa Marynarki Wojennej napotykała na trudności. Skutkiem biernego stanowiska społeczeństwa z jednej strony, oraz braku funduszów skarbowych z drugiej, — rozbudowa naszej Marynarki Wojennej nie postępowała w takim tempie, w jakim robili to nasi sąsiedzi. Toteż, aczkolwiek w budowę naszej morskiej siły zbrojnej włożyliśmy ogromny wysiłek, tym bardziej widoczny, że rozpoczęliśmy tworzenie Marynarki Wojennej z niczego, to jednak, mimo dość licznej już floty, nie posiadamy takiej, jaką będziemy potrzebowali do obrony kraju, jaką powinna posiadać Polska Mocarstwowa, jaka musi wreszcie stanąć na straży naszych interesów morskich.

Przypomnijmy sobie, że do roku 1926 flota nasza składała się z pięciu torpedowców (szósty został wycofany w 1923 r.), przyznanych nam przez Radę Ambasadorów z dawnej floty niemieckiej; dwuch kanonierek, zakupionych w Finlandii; czterech traulerów, zakupionych w Niemczech, okrętu hydrograficznego i jednego transportowca. Był to zaczątek naszej floty. Zadaniem tych jednostek było wyćwiczyć i przygotować oficerów i załogi dla przyszłych bojowych okrętów. Zadanie to zostało wypełnione.

Z okrętów tych w dzisiejszym składzie naszej floty pozostały tylko: dwa torpedowce — „Mazur" i „Kujawiak", obie kanonierki — „Komendant Piłsudski" i „Generał Haller" oraz jeden z traulerów, przerobiony gruntownie na statek hydrograficzny. Resztę tego zaczątku naszej floty wycofano i oddano na złom.

W roku 1926 zostały zamówione pierwsze okręty bojowe. Od tej chwili flota nasza powoli, jednak ciągle wzrasta, nabierając coraz większego ciężaru gatunkowego. Wycofano wprawdzie kilka okrętów przestarzałych, lecz na ich miejsce przybyły i nadal przybywają nowe, na wskroś nowoczesne, ktróe w swych klasach stanowią najsilniejsze okręty na Morzu Bałtyckim.

Obecnie nasza flota wojenna liczy w swym składzie 23 okręty i 4 małe statki portowe, których ogólny tonaż wynosi — 27440 ton.

Z ogólnego tego tonażu na tonaż bojowy przypada — 14.470 ton, na tonaż pomocniczy — 2.800 ton i na okręty specjalne — 10.170 ton.

Do okrętów bojowych należą: 2 kontrtorpedowce OO.R.P. „Grom" i „Błyskawica". 2 kontrtorpedowce OO.R.P. „Wicher" i „Burza", 4 podwodne okręty — OO.R.P. „Wilk", „Ryś", „Żbik" i „Orzeł", piąty—„Ryś" w budowie i stawiacz min ORP. „Gryf".

Grupę okrętów pomocniczych stanowią: 2 kanonierki — OO.R.P. „Komendant Piłsudski" i „Generał Haller", 2 torpedowce — OO.R.P. „Mazur" i „Kujawiak", 4 traulery — OO.R.P. „Czajka", „Jaskółka", „Mewa" i „Rybitwa" i okręt minowy O.R.P. „Smok".

Wreszcie w liczbie okrętów i statków specjalnych widzimy: żaglowiec szkolny O.R.P. „Iskra", okręt hydrograficzny — O.R.P. „Pomorzanin", transportowiec — O.R.P. „Wilia", oraz okręt nurków i 4 holowniki.

Wreszcie w roku ubiegłym Liga Morska i Kolonialna podjęła nową inicjatywę przyciągnięcia społeczeństwa do dalszej pracy nad rozbudową naszej floty wojennej . Tym razem uchwalono wybudować ze składek społecznych flotyllę ścigaczy, w ten sposób, że każdy Okręg Ligi Morskiej i Kolonialnej buduje jeden ścigacz swego imienia. Niedawno podjęta akcja daje już wyniki, bowiem Okręg Warszawski posiada już potrzebną sumę, tak, że budowa pierwszego ścigacza niebawem zostanie rozpoczęta.

Mimo tych zdobyczy, flota nasza rozwija się za wolno, rozbudowa jej wymaga dalszych wielkich wysiłków, a posiadanie jej staje się coraz więcej palącą koniecznością.

Oprócz floty w skład Marynarki Wojennej wchodzi jeszcze obrona Wybrzeża Morskiego, Lotnictwo Morskie i Flotylla Rzeczna.

Wszystkie te części składowe stanowią całość organizacji Marynarki Wojennej.

Złóż ofiarę na
Fundusz Obrony Morskiej

Musimy iść za morze!

Oddawna rzuca już Liga Morska i Kolonialna hasła o potrzebie wyjścia z ram ograniczających dzisiejszy nasz handel i spojrzenia na dalsze horyzonty. Niestety, statystyka stwierdza (patrz: Rocznik Morski i Kolonialny 1938) jedynie nikłą poprawę naszej ekspansji handlowej i mowy nie ma o zrealizowaniu chociażby w 20 procentach planów co do naszego eksportu za morze. Co gorsza — bilans naszego handlu z krajami zamorskimi jest ujemny i deficyt ten rośnie co roku. Dużo się mówi o tym, że handel idzie za banderą. Tak, to jest wielka prawda, w imię której każdy powinien się przyczynić do rozbudowy naszej marynarki handlowej — ale jeszcze większą prawdą jest to, że handlować muszą ludzie. Ludzie — to znaczy my, Polacy! Jasnym jest bowiem, że żaden Anglik, Holender czy Niemiec nie będzie wytężał swych sił tam, gdzie będzie chodziło o nasz zarobek.

Jeżeli uwzględnimy jeden warunek, to jest siłę nabywczą ludności, to następnym będzie zaistnienie agenta, który by wytwór rodzimego przemysłu mógł zaprezentować. I tu dochodzimy do sedna sprawy. **Potrzebni są ludzie!**

Nie ci, którzy, chcąc iść po linii najmniejszego oporu, szukają na egzotycznych rynkach zbytu wrażeń i szybkiego wzbogacenia się, ale tacy, którym zależałoby na tym, by przemysł polski rósł ciągle i potężniał, tacy, którzy w swej pionierskiej pracy widzieliby środek na to, aby swemu młodszemu bratu, gdy dorośnie zapewnić pracę. I ludzie ci są. Nie wiedzą tylko może, że to właśnie o nich mowa. Ci, którzy kończąc studia handlowe idą na byle jaką posadę (kanceliści gminni), ci, co chcą pracować owocnie dla ojczyzny lecz nie wiedzą jak, ci wreszcie, co rozumiejąc potrzebę zwiększenia naszej ekpansji zamorskiej nie mają dość sił na to, by plany swe urzeczywistnić — ci wszyscy potrzebni są do wielkiego wysiłku, do tworzenia nowego ruchu w polskiej gospodarce. A możliwości są olbrzymie. Jeżeli uwzględnimy jedynie żyjących na obczyźnie Polaków, to i oni przedstawiają dla naszego przemysłu olbrzymi rynek zbytu. W Ameryce Południowej mieszka blisko pół miliona Polaków, z których każdy jest w stanie kupować tylko wyroby polskie. Zamiast wywożonych do Brazylii i Argentyny towarów za 30 milionów złotych, moglibyśmy wywozić ich trzy razy więcej. Ale to mało! Afryka przywozi za 9 miliardów złotych, Azja za 20 milionów, Oceania za 4, Ameryka Południowa za 10 — razem za 43 miliardy złotych. Odjąwszy eksport Japonii, który wynosi 4,7 miliarda i Anglii do jej kolonii — 5,3 miliarda otrzymujemy jeszcze 33 miliardy, z których tak „po prawdzie" 10 proc. powinno być nasze. Jeżeli nie jest, to wina naszej ospałości, naszego zaniedbania.

I dlatego dość z tym. Raz już trzeba zerwać z tym wyczekiwaniem na obcą banderę, z tym patrzeniem w ręce obcych. Czas nam samym zabrać się do pracy. A nie jest to praca łatwa. Mało jest — znać księgowość, zasady buchalterii i stenografii — do tego wszystkiego trzeba dodać ową zaciętość, z jaką kiedyś waliły polskie siekiery piniorowe lasy. Skończył się okres emigracji polskiego chłopa, robotnika i górnika. Musi co prędzej zacząć się okres nowy, świetniejszy, pełniejszy mocy, okres handlowej ekspansji za morze.

Młodzież jednak, bo z niej właśnie powinni się rekrutować owi kupcy, powinna wiedzieć, że nie napotka tam, za morzem, ani wygodnych lokali, ani niczego, coby mogło przypomnieć „wielką buchalterię". Spotka tam natomiast takich, którzy z zawiścią będą patrzyć na tych, co będą chcieli zająć ich miejsca. Trudno! Życie jest walką! W tej walce musimy my zwyciężyć! A bronią w tej bezkrwawej, egzotycznej walce będą dwie cechy, które nam dadzą przewagę. Dokładna znajomość fachu i władanie językiem tubylców. A języków takich jest mnóstwo: chiński, malajski, hindi, perski, arabski, murzyńskie narzecze Hasa, Nama, Herera, malgaski i wiele innych. Wystaczy znać dokładnie język angielski i jeden z wyżej przytoczonych, by dotrzeć do najdalszych rąk.

Ale znajomość najwyszukańszych języków, znajomość fachu nie pomoże, jeżeli nie będzie prawdziwej chęci, dobrej woli i wielkiego hartu. Albowiem tylko wielka idea i jej zrozumienie mogą pchnąć setki bezrobotnej młodzieży tam, gdzie jest jej obecne miejsce przeznaczenia. Niczym bowiem są wrażenia podróży egzotycznych i jeżeli ktoś będzie się wybierał poto tylko, by zwiedzić dalekie kraje, to lepiej niech siedzi w domu.

Ale znajdą się z pewnością i tacy, którzy powiedzą: „Dobrze! Pójdziemy w te dalekie kraje na swe posterunki. Pójdziemy, by wieść życie pełne może rozczarowań ale z przeświadczeniem, że walczymy o dobro i chwałę Wielkiej Polski. Przekonane o dobroci polskich towarów milionowe rzecze tubylców będą co rok olbrzymim rynkiem zbytu dla polskiej produkcji".

Stanisław Lipski

Do Gdyni na Święto Morza

(Wrażenia z wycieczki)

LMK ogłosiła konkurs na opis wrażenia z uroczystości Dni Morza w r. 1938. Spośród wielu nadesłanych drukujemy poniżej pracę p. Niewiarowskiego z kolonii Siwiszki koło Rymszan pow Brasławskiego. Autor, posiadający wykształcenie tylko czterech oddziałów szkoły powszechnej opisuje uczucia swoje w sposób tak barwny i bezpośredni, że dla zachowania oryginalności podajemy tekst bez zmian

. . . .

I teraz siedzimy z Waciukiem w wagonie, a dusze nasze dawno nas wyprzedziły i hen wysoko gdzieś naprzód szybują. Podziwiamy od Dukszt malownicze krajobrazy kresowe. Im jednak bliżej Wilna, tym krajobraz staje się jednotonny oraz ścisk w wagonie większy panuje. Pierw Waciuk „łazikował" po wagonach, umizgując się do panien i wszystkim się interesując, bo pierwszy raz jedzie pociągiem — „Czut nie zostałsia ja w Dukształach — żali się w swej prostocie, bo jakaś baba uczepiła sia mnie i kazała, by podawał jej koszyki do wagonu"... i w dalszym ciągu snuje swe wynurzenia. Jednak nie zważam na nie, bo dojeżdżamy do Wilna.

Tu miałem być przewodnikiem, bo mój kolega „wszystko" chciał widzieć i wiedzieć. Najpierw odwiedziliśmy Tą, co „w Ostrej świeci Bramie". Po krótkiej, lecz żarliwej modlitwie i poleceniu siebie pod Jej przemożną opiekę, ruszamy zwiedzać kilka kościołów, katedrę, wdrapujemy się na górę Zamkową i idziemy złożyć hołd Temu, co ponad wszystko ukochał Trzy Matki — Rossa... Tuż koło drogi przed furtką wzniesione jest coś w rodzaju kapliczki z Obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Widocznie pod Jej opiekę oddane są te liczne groby walecznych obrońców Ojczyzny i — Serce. które w swojem ogromnym miłowaniu nie chciało grodu Giedymina opuścić.

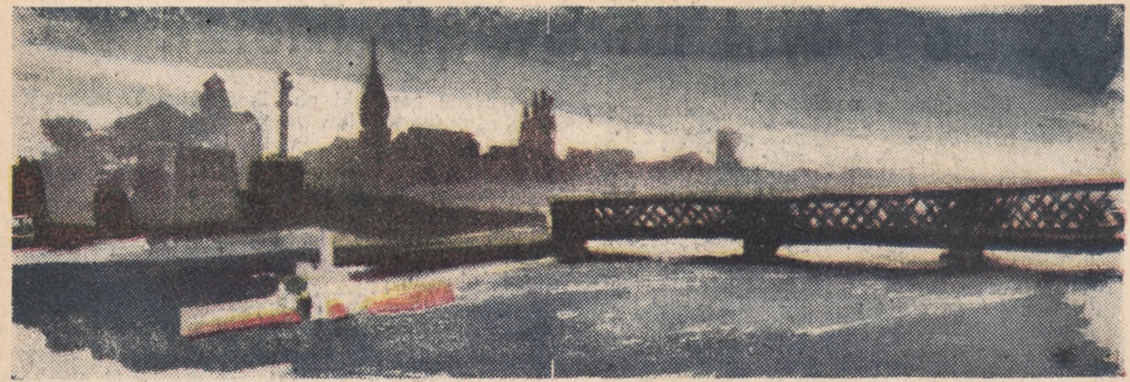
Dłuższy czas przyglądamy się mauzoleum i stojącej warcie honorowej. Smutne nasuwają się refleksje patrzac na tę płytę granitową, z napisem „Matka i Serce Syna". Wszak wola Wodza była niczym ta płyta granitowa, bo zapał młodości przekuwała na heroiczne czyny... Z niezmiernie zbolałego serca płynie od nas cichy szept: — Dlaczego nas opuściłeś Dziadku? Odeszłeś w tajemnicze cienie szczęśliwy, bo wiesz, że Twa ideologia jest zrozumiana, a Twoi Następcy popchają Polskę na wyżyny. Jednak, jednak, coś chwyta za serce, coś kwili i łka. Może te odwieczne drzewa na Rossie tak tęskny rozhowor prowadzą ze sobą? albo może na konarach drzew wiatr smutne wygrywa epitafium? — nie wiem. To tylko wiem, że Rossa w ten dzień była prześlicznie, przez przyrodę przystrojona: Drzewa ubrane subtelną zielenią, majestatycznie wstrząsają konarami. Złociste promienie słoneczne kaskadą spadające na ziemię układają się w przeróżne odcienie. Hen, z miasta dochodzi gwar ludności, syreny i klaksony samochodowe przerywają świętą ciszę, a do tego dołącza się, gdzieś w pobliskim drzewie ukryty słowik i płynie cudna melodia z różnych odgłosów...

W Warszawie mieliśmy możność zwiedzić Belweder. I tam, ze łzą w oku patrzaliśmy na historyczne pamiątki po Ukochanym Dziadku. Którego osobiście nie znaliśmy.

Waciuk ukradkiem ścierał łzy i z istną adoracją patrzał na te przedmioty, na które nie raz Dziadek wzrokiem zahaczał. Jakiś sentymentalny nastrój się unosi w tych dużych salach belwederskich, każdy turysta jest wzruszony i skupiony, tęskny i nieśmiały. Szeptem zwracane uwagi, albo głośniejsze westchnienie cisza przerywają. Myśl chybotliwa, przeskakuje z jednego obrazu na inny i — oczyma duszy widzimy Wodza idącego i patrzącego w palącą się zorzę: „Zorza nasza paliła się na horyzoncie tak mglisto, że zdawało się często, iż noc zalać ją musi". W czasie Jego wędrówki grały mu koniki polne, gwiazdy swe światło słały pod stopy, kwiaty najsubtelniejszą woń wydzielały, wietrzyk miękką dłonią chłodził czoło Jego. a On. wpatrzony w zrywającego się Orła Białego, szedł jak wspomnienie, przez polskie zagony, poorane granatami, do — celu... A cel się przybliżał, mocarną Jego dłonią przyciągany...

W Warszawie zwiedziliśmy kilka większych ulic i z historią związanych gmachów. Na Krakowskim Przedmieściu zaopatrzamy się w albumy pamiątkowe, na Jasnej podejmujemy z P. K. O. po kilka złotych i po pewnym czasie opuszczamy Warszawę, która jest odświętnie przystrojona na „Dzień Morza". Mijane większe i pomniejsze stacje są udekorowane różnymi afiszami, plakatami i hasłami na tematy morza, Gdyni, kolonii dla Polski. Na obchód „Dnia Morza" cała Polska rezolutnie bierze udział. Lecz jakże minimalnie przedstawiały się te wszystkie ozdoby względem Gdyni. Wszak tu się koncentruje cała „elita ceremonialna" tego obchodu. Po wyjściu z wagonu. na dworcu, na peronie, oraz na ulicach miasta, panuje świąteczny, wesoły nastrój i pełne brawury poczynania. Gdynia jest umajona, przyozdobiona, udekorowana... Każdy kto tylko po raz pierwszy stąpa w Gdyni, ten odczuje jakiś energiczny rytm życia, pośpiech, tempo... Tu wszystko wrze, kotłuje się, goni, ucieka.

A jednak, Gdynia ma jakiś swoisty urok, jakiś sielski powab, coś takiego, prawie eterycznego, a zarazem drogiego dla serca Polaka, że nie da się to opisać, bowiem każde słowo jest za małe na odmalowanie prawdziwego piękna polskiego portu. Zrazu owiał nas rozgwar i ruch mrowia ludzkiego, po prostu wsiąkliśmy w to morze ludzkie śpieszące się w różne kierunki i niesieni jej falą, po kilku zapytaniach, znaleźliśmy się na ulicy 10 Lutego — celu naszej wedrówki. Po załatwieniu formalności rodzinnej i po obfitym posiłku idziemy się przyjrzeć Gdyni. Pierwsze swe kroki kierujemy do portu. Słońce po całodziennej wędrówce kładło senną swą głowę na poduszki fal, gdy stanęliśmy na moli portowej. Ukośne promienie zachodzącego słońca padające na rozigrane bałwany morza, strzeliste maszty okrętów, kolosalne „trans-atlantyki" jakby w zadumie stojące u brzegu, oraz rozkrzyczany, rozegzaltowany tłum różnych narodowości i ras. na zawsze pozostanie u nas w pamięci. Waciuk otworzył usta w niemym zachwycie, długo milczał i wyrzekł tylko te dwa wyrazy w jakimś nabożeństwie: „Pol-



skie morze". A jakby w odpowiedzi uderzały bałwany w falochron portu i przedziwnie melodyjny głos morza przemawiał do naszych serc słowami tęsknoty, potęgi i kochania zarazem. Szum i bełkot morza był dla nas przecudną muzyką, miłą pieszczotą. Zgrzyt dźwigów, gwizd syren okrętowych, ze wszech stron padające obce wyrazy, zlewały się w jedną całość, dołączał się szum morza i jak hymn wyśpiewywany przez głęboko wierzącego chrześcijanina wzlatał ku stropom niebieskim — do Boga. Bo patrząc na morze bezwładnie się musi myślą tam ulatać...

Tymczasem zaczął się ruch w porcie, bo wjeżdżał ogromny parowiec, zdaje się amerykański. Holownik go wiódł na miejsce przeznaczenia, przypominając legendę o ślepej babce i dobrej gęsi, co wiodła niewiastę do kościoła. Przysunął się kolos do brzegu, spuszczono pomost i na pokład zaczęli się wysypywać „amerykańscy Polacy" i innej narodowości ludzie. Może po raz pierwszy przyjeżdżali ci Polacy do wolnej, niepodległej, a potężnej Ojczyzny...

Latarnia stojąca u wejścia do portu potężne rzuca na wodę światło. I zdaje się, że to światło jest żywe, rusza się, faluje i — mknie po dużych bałwanach, het, na środek Bałtyku i dalej, dalej, unosząc ze sobą w inne narody nieznane wspomnienie dla Rodaków. W ich duszach również, jak w ta latarnia, żarzy się światło — tęsknoty za Ojczyzną, a nostalgia swymi mackami wpija się do serca...

Rzecz zrozumiała, że trudno było wszystko widzieć, zwiedzić, wszędzie się docisnąć, zbadać. Nasze skromne ubrania nieraz stały nam na przeszkodzie, bo przedstawiały nas raczej za pracowników, ba, nawet „trampów", aniżeli turystów.

Dzień 29 czerwca był dniem obchodu „Dnia Morza", dniem radości, chluby i dumy z dokonanych dzieł nad polskiem morzem. Gdynia jest nowoczesnym miastem, w całym tego słowa znaczeniu. Wysiłki polskich uczonych, inżynierów, pracowników nie poszły na marne, bo należy pamiętać, że koszary i basen (floty) marynarki wojennej są budowane na terenie dawnych torfowisk. Gdzie niegdyś wiatr gnał tumany piasku i z jednej „diuny" na inną wydmę przenosił, obecnie wznoszą się drapacze chmur i duże nowoczesne gmachy rządowe, bądź też prywatne w kształcie pudełek zapałkowych stawiane. Więc serce każdego uczestnika, czy to najwyższych urzędników, do najprostszego robotnika, biorącego udział w obchodzie „Dnia Morza" silnie uderzały patrząc na sprawność marynarki wojennej, słuchając marsza, granego przez orkiestrę floty do obrony portu zbudowanej. Rosły nam serca, słysząc te okrzyki pełne entuzjazmu, werwy i brawury.

W czasie defilady mieliśmy możność z bliska poznać naszych drogich żołnierzy, toż wśród tych szeregów w prędkim czasie przyjdzie się czynny brać udział, liczne organizacje młodzieży, marynarzy itd. Z rozwartymi ustami patrzyliśmy na te „fajne ślicznostki" — według określenia Waciuka, a te wszystkie uroczystości jak na ekranie przesuwały się przed naszyma oczyma, jednak, za małe są moje zdolności by to wszystko opisać szczegółowo. Mój opis jest raczej wynurzeniem tych myśli, co widząc i zwiedzając myślałem i czułem. Może należałoby opisywać o mszy świętej i tych wszystkich szczegółach? Ale wiem, że większość innych uczestników to opisze, więc chcę dać inne, a jednak ciekawsze szczegóły.

Po godzinie pierwszej, gdy Waciuk w porcie gmerał i zaprzyjaźniał się z „wilkami morskimi", ja skierowałem swe kroki w stronę Rozewia. Po opuszczeniu Gdyni i tych prześlicznych will, wszedłem na teren równy, martwy i mało zamieszkały. Im dalej oddalałem się od miasta, tym większe ubóstwo widniało. Czasami spotykałem kilka małych chatynek stojących na piaszczystej glebie. W pobliżu widać krzątających się rybaków koło sieci; gdzieś opodal na mizernej trawce chodzą kozy, albo inne pożyteczne zwierzę gospodarskie. Czasami, gdzieś z mizernych krzewów, wylęknioną główkę wznosi sosenka koślawa, zgarbiona, mała. Jak dziwny kontrast przedstawia do tych sosen kresowych. Tam są wysmukłe, gonne, ogromne. I może się widzą czasami: sosna kresowa i nadmorska, gdy pierwsza będąc masztem jakiegoś kutra zwiedza rozliczne strony, natomiast pomorska sosna stoi nadal przykrzywiona i zdaje się opłakuje szmerem swego igliwia grzechy świata. Owszem, czasami kilka sosen drwiły sobie z wycia wichru i jego łaskotania, bo spotykałem równe i wysmukłe. Jednak ten widok brzegu nadmorskiego, ciągle niszczonego przez fale, burze i wiatry ma urok i piękno. Oparty o strome wybrzeże, zapatrzony na morze wpadłem w nastrój marzycielski. Oczyma duszy widziałem „Błękitnego Generała", śpiesznie jadącego po jantarach w spienione bałwany Bałtyku. Skupiona twarz, sokole oczy zwrócone na toń wody z tęsknotą patrza na ciemnoniebieskie morze, z radością tętni serce, nie zna-

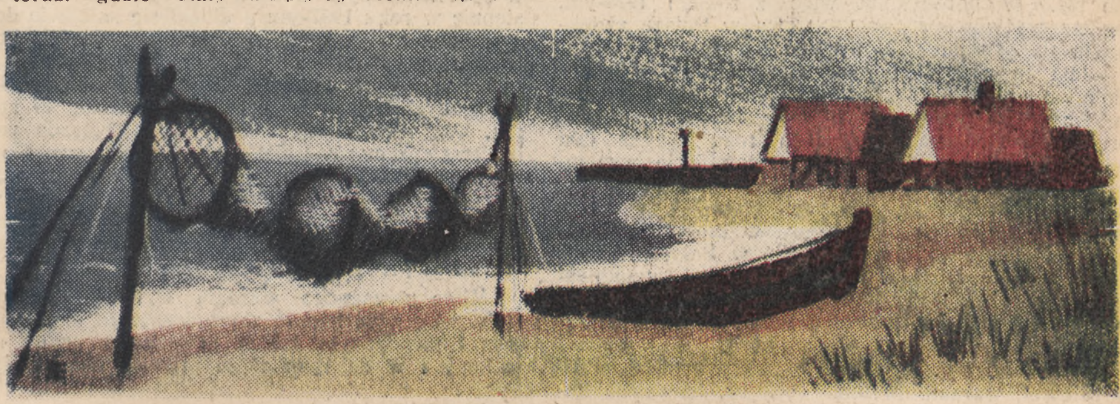


jące strachu, szlachetne i wzniosłe. Muzyka fal gra mu pieśń nad pieśni, a w szumie ich słyszy Generał zew potężny morza, wołanie cudowne. I, zdejmuje z palca pierścień złoty, jaśniejący, rzuca go w wiecznie kotłujące się odmęty, jako dowód, że Bałtyk i Polska to jest jedność nierozerwalna. Zaszumiało morze i objawiło swą radość w potężnym bulgocie. Wyciąga Bałtyk tęskne ramiona swych fal do Generała, lecz jest bezsilny by uchwycić Tego, Którego czyny były śmielsze od marzeń, i — tylko bezsilnie u stóp konia faluje... A na brzegu stojący żołnierze wznieśli gromki okrzyk na cześć Polski i polskiego morza, że nawet spłoszone mewy długo kołowały nad wodą kwiląc radośnie. — A teraz, gdzie stały kopyty konia generała Hallera, dumne oblicze wznosi Gdynia i niby pierścieniem swej floty opasuje świat.

Jedna, bliżej morza stojąca chata rybacka szczególnie mnie zainteresowała, więc kieruję swe kroki w jej stronę, by zaglądnąć do jej wnętrza. Przez otwarte drzwi na czworakach z trudem przez próg się przegramolił mały brzdąc. Umorusaną koszulkę trzyma w zębach, by mu nie przeszkadzała w „pochodzie". Słysząc me kroki, ciekawie podniósł główkę i swemi niebieskimi oczyma zaczął mi się przyglądać. Mimowoli myślą przeniosłem się na Wileńszczyznę: i tam podobni temu urwisowi, mali obywatele, nie zawsze czyści, na czworakach „zwiedzają" podwórze. Przestąpiłem próg. Na niskim zydelku siedziała starsza kobieta „czyszcząc" rybę, gdy młodsza prasowała jakąś szmatkę. Nieufnie i podejrzliwie spojrzały na mnie. Poprosiłem o szklankę mleka. Podała w glinianym dzbanuszku. Z podróżnej sakwy wyjąłem parę bułek i z mlekiem zacząłem zajadać. Młodsza zaprzestała prasować i zaczęła ciekawie wypytywać, skąd itd. W czasie rozmowy wszedł stary, pomarszczony Kaszub. Opowiedziałem o Kresach, Wileńszczyźnie, pojezierzach brasławskich, o podróży i w ogóle o wszystkim. Dowiedziałem się, że młoda Kaszubka, Irena, była na uroczystości w Gdyni i „wszystcy koleżeńcy" jej zazdrościli z tego powodu. Kaszub mówił o tym jak w Gdyni nie było portu, o stawianiu go, o morzu, połowie ryb... Przyznać się muszę, że Kaszub jest więcej skryty, małomówny, tajemniczy, natomiast Kresowiak jest otwarty, szczerość jego tchnie prostotą, sympatią. Po u i s z c z e n i u za podwieczorek, Kaszub zawiódł mię na pożegnanie do swoich sieci, wtajemniczył w arkana rybackie. Przyznać się muszę, że do rybactwa mam słabość, więc z zaciekawieniem słuchałem o połowie ryb na morzu, różnymi rodzajami sieci. — Szedłem brzegiem morza, a w myślach uświadamiałem sobie, że „Poliszcza" budując Gdynię, ziściła wszystkich Polaków marzenia...

Przyśpieszyłem kroku, by na zmierzch być w Gdyni. Szedłem nad morzem, bo chciałem się nim nacieszyć przed odjazdem. Wiatrem gnane fale, mknęły w stronę Szwecji. Czasami na widnokręgu, gdzie woda z niebem się styka, zamajaczył maszt jakiegoś kutra, jachtu, lub okrętu, czasami pióropusz dymu wyrastał nad tonią wody, by znowu skryć się — na zawsze. Z morza powstawały niewidzialne liny i mnie mocno wiązały do niego, wiedziałem już, że tęskno mi będzie bez szumu tych fal, bez rozległych dali.

J. W. Rawicz-Niewiarowski



Życie gospodarcze Polski w roku 1938

W porównaniu z krajami zachodnimi, Polska jest mało uprzemysłowiona. To znaczy za mało mamy w Polsce fabryk, oraz rozmaitych przedsiębiorstw i warsztatów przemysłowych. Są to skutki wiekowej niewoli, podczas której rządy zaborcze celowo utrudniały i hamowały uprzemysłowienie podległych im ziem polskich.

Po odzyskaniu niepodległości, w ciągu pierwszego dziesięciolecia wiele czasu, pracy i pieniędzy pochłonęła odbudowa licznych fabryk, warsztatów i gospodarstw, zniszczonych podczas wojny. Potem długoletni kryzys gospodarczy mocno utrudniał, a nawet uniemożliwiał rozbudowę przemysłu, a także dróg i rozmaitych urządzeń. Dopiero od paru lat zaznaczają się w tej dziedzinie duże zmiany na lepsze. Dotyczy to w pierwszym rzędzie Centralnego Okręgu Przemysłowego, w którym powstało już sporo wielkich fabryk, elektrowni, oraz różnych przedsiębiorstw, mających dla całego kraju doniosłe znaczenie. Poza tym w latach ostatnich w wielu dziedzinach życia gospodarczego zaznacza się u nas dość wydatny rozwój, o czym świadczą obliczenia i wykazy urzędowe, w szczególności zaś tak zwane wskaźniki liczbowe, czyli wykazywanie zachodzących zmian w rozmaitych dziedzinach w odsetkach.

Chcąc mieć pojęcie o przebiegu rozmaitych zjawisk gospodarczych od czasu wystąpienia kryzysu, ceny oraz ilości każdej rzeczy z roku 1928 przyjęto jako **100**, a następnie wzrost lub spadek wyraża się odpowiednim odsetkiem, nazywając go **wskaźnikiem**. Jeżeli dla przykładu cena żyta w roku 1928-ym wynosiła 40 zł, to później przy cenie 12 zł wskaźnik ceny żyta wynosił 30, a przy cenie 20 zł, wskaźnik wyrażał się liczbą 50.

W ostatnich dwóch latach, jak wykazują zestawienia liczbowe, wytwórczość przemysłowa w Polsce wzrosła bardzo poważnie. Okazuje się mianowicie, że produkcja węgla, żelaza, nafty oraz rozmaitych narzędzi i wszelkich towarów, liczona w roku 1928 jako 100, następnie w roku 1932-im, podczas kryzysu, obniżyła się do 64. a potem stopniowo wzrastając dosięgła w roku 1936-ym wskaźnika 99, czyli bliska już była poziomu z roku 1928. W roku 1937-ym, dzięki znaczniejszej poprawie, wskaźnik produkcji przemysłowej wzrósł do 111, w październiku zaś roku zeszłego — podniósł się do 131. W porównaniu więc z rokiem 1928-ym, ogólna wytwórczość przemysłowa w Polsce zwiększyła się ostatnio o 31 procent.

Jest to niewątpliwie wzrost znaczny. W podobnym stosunku zwiększyła się wytwórczość przemysłowa w Anglii i w Niemczech, mająca w letnich miesiącach ubiegłego roku prawie taki sam wskaźnik jak w Polsce. Oczywiście wspomniane liczby oznaczają tylko zachodzące zmiany, ilości wytworzonych towarów natomiast w przeliczeniu na jednego mieszkańca, w krajach zachodnich są wielokrotnie większe niż w Polsce. Wobec tego długo jeszcze musimy z wielkim wysiłkiem pracować i zabiegać, żeby móc dorównać w wytwórczości dobrze zagospodarowanym krajom zachodnim.

W miarę zwiększania się wytwórczości przemysłowej, wzrasta również ruch towarowy na kolejach. W roku 1928-ym dzienne załadowanie towarów na kolejach w całej Polsce wynosiło średnio ponad 15 tysięcy wagonów towarowych, następnie w ciężkim roku kryzysowym 1932-im, zmniejszyło się do niespełna 10 tys., po czym w roku 1937-ym dzienne załadowanie wagonów wynosiło około 14 tys., a w październiku ubiegłego roku dosięgało 17 i pół tysiąca, czyli o 2 tysiące więcej niż w r. 1928-ym.

Godny uwagi jest ogromny wzrost ruchu statków towarowych w obu portach polskich. W roku 1928-ym, razem licząc w Gdyni i Gdańsku, wchodziło i wychodziło miesięcznie 1.200 statków, w kryzysowym 1932-im — 1.400 statki, następnie w roku 1937-ym miesięczny ruch statków wzrósł do 1.900 a w listopadzie roku zeszłego dosięgnął poważnej liczby — 2.108 statków, czyli prawie dwukrotnie więcej niż przed dziesięciu laty. Z tego widać, że nasz przywóz i wywóz towarów drogą morską wzrasta bardzo szybko, a to dowodzi, że Polska na morzu coraz bardziej się umacnia, co ma także duży wpływ na ogólny rozwój gospodarczy kraju.

W ścisłym związku z ogólnym rozwojem gospodarczym pozostaje ruch budowlany, który w latach ostatnich przybrał znaczne rozmiary. W pierwszych trzech kwartałach w roku 1937-ym, w średnich i większych miastach ogółem licząc w całej Polsce, wybudowano 40 tysięcy izb mieszkalnych, a w tym samym okresie czasu roku zeszłego — niespełna 31 tysięcy, czyli o 9 tysięcy izb mniej. Z tego wynika, że w roku zeszłym w porównaniu z rokiem poprzednim ruch budowlany znacznie osłabł. Przypuszczalnie zostało to spowodowane odpływem większej ilości pieniędzy do rozbudowującego się przemysłu. Ruchu budowlanego po wsiach oraz w małych miastach statystyka nie obejmuje. Przy małej dochodowości rolnictwa, ruch budowlany po wsiach ostatnimi czasy był niewątpliwie jeszcze słaby.

Ogólna poprawa gospodarcza spowodowała znaczny wzrost zatrudnienia sił ludzkich. Liczba robotników ubezpieczonych, wynosząca w roku 1936-ym 1½ miliona osób, w roku 1937-ym wzrosła do 1 miliona 700 tysięcy, a w lipcu roku zeszłego dosięgała blisko 2 milionów osób. Jednakże w porównaniu z rokiem 1928-ym stan zatrudnienia sił ludzkich był jeszcze stosunkowo słaby. Wskaźnik zatrudnienia w okresie kryzysu w roku 1932-im, spadł do 65, następnie w roku 1937-ym podniósł się zaledwie do 90 a w lipcu r. z. wynosił 106, to znaczy wskaźnik zatrudnienia był znacznie niższy od wskaźnika wytwórczości przemysłowej. Stąd też liczba ludzi pozostających bez pracy była jeszcze duża. W styczniu 1938 roku zarejestrowanych w biurach pośrednictwa pracy bezrobotnych liczono przeszło pół miliona osób, a w lipcu, w okresie największego zatrudnienia, poszukujących pracy za pośrednictwem biur było 232 tysiące osób. Poza tym liczne rzesze bezrobotnych, nigdzie nie rejestrowanych, pozostawały bez pracy po wsiach i miasteczkach.

Mimo poważnego wzrostu wytwórczości przemysłowej, nasz handel zagraniczny, to znaczy wywóz i przywóz w latach ostatnich poczynił małe postępy i w dalszym ciągu przedstawia się dosyć ubogo.

W roku 1928-ym wywóz za granicę rozmaitych towarów oraz produktów rolnych przynosił miesięcznie 209 milionów złotych, następnie w latach kryzysu wywóz dawał zaledwie około 90 mil. miesięcznie, później — w roku 1937-ym — około 100 mil., a w miesiącach letnich r. z. — od 96 do 116 milionów złotych. W tej dziedzinie więc mamy wzrost niewielki

Za cały rok wywóz za granicę w ostatnich latach wynosił około 1 miliarda 200 milionów złotych. Suma niby to wielka, ale w rzeczywistości bardzo skromna. W przeliczeniu na jednego mieszkańca kraju czyni to około 35 zł, podczas gdy w krajach zachodnich wywóz za granicę wynosi na głowę ludności dziesięcio i dwudziestokrotnie więcej. Stanowczo więc wywozimy za mało.

W wywozie produktów pochodzenia rolniczego w latach 1937 i 1938-ym zaznaczyły się duże zmiany. Wskutek gorszych zbiorów w latach poprzednich, zboża wywoziliśmy bardzo mało, dosyć pomyślnie natomiast rozwijał się wywóz trzody chlewnej oraz szynek w puszkach, jaj i masła. W stosunku jednak do naszych możliwości, wywóz tych rzeczy, a zwłaszcza nabiału — pozostaje jeszcze zbyt mały.

Duże znaczenie w życiu gospodarczym ma ilość pieniędzy będących w obiegu. Od paru lat obieg pieniężny w Polsce wzrasta, lecz o wiele wolniej aniżeli wytwórczość. W roku 1932, to znaczy w okresie największego kryzysu, ogółem licząc wszystkich pieniędzy mieliśmy w obiegu 1 miliard 363 miliony złotych, następnie w roku 1937-ym, przy znacznym polepszeniu gospodarczym obieg wzrósł do 1 miliarda 454 miliony zł, w roku zeszłym w maju podniósł się do 1 miliarda 549 milionów, a w listopadzie — do 1 miliarda 828 mil. zł. Znaczniejsza zwyżka obiegu pieniędzy nastąpiła więc dopiero pod koniec roku zeszłego, lecz mimo to w dalszym ciągu obieg pieniędzy był jeszcze stosunkowo mały. Średnio licząc na głowę mieszkańca w roku 1937-ym przypadało pieniędzy obiegowych 41 zł, a pod koniec roku zeszłego 52 złote. Bardziej zasobne kraje mają obieg pieniężny wielokrotnie większy.

Oszczędności pieniężne, składane w rozmaitych bankach i kasach, powoli lecz stale wzrastają. Ogółem licząc, wkłady w bankach państwowych i prywatnych oraz w P.K.O. i K.K.O., wynoszące w roku 1932-im — 2 miliardy złotych, w roku 1937-ym wzrosły do blisko 3 miliardów, dosięgając w maju r. z. 3 miliardów 177 milionów złotych, po czym w październiku wkłady zmniejszyły się do 3 miliardów 15 milionów złotych. Powolniejszy wzrost wkładów w latach ostatnich tłumaczy się wzmożonym ruchem budowlanym oraz ogólnym ożywieniem gospodarczym, podejmując bowiem rozmaite inwestycje, wielu oszczędzających wycofało swe wkłady z banków.

Ogólna suma wkładów we wszystkich bankach i kasach w roku zeszłym wynosiła prawdopodobnie powyżej 3 i pół miliarda złotych, co w przeliczeniu na głowę ludności czyni około 100 złotych. Są to więc oszczędności stosunkowo niewielkie.

Poczynając od połowy roku 1936-go położenie rolnictwa pod wpływem zwyżki cen zboża uległo znacznemu polepszeniu. Niestety, poprawa trwała krótko. W roku 1937-ym, wskutek klęski posuchy, w wielu okolicach rolnictwo poniosło wielkie straty. W roku zeszłym zbiory wypadły obfite, lecz silny spadek cen, jaki się ujawnił po żniwach, ogromnie pogorszył położenie rolnictwa.

Wskaźnik cen zboża, z 54 w roku 1937, w listopadzie r. z. spadł do 35 czyli o 34 procent. Jednocześnie wskaźnik cen zwierząt rzeźnych obniżył się z 44 do 41, a tylko wskaźnik cen nabiału nieco wzrósł — z 50 do 53. Niewiadomo jednak, czy ta ostatnia zwyżka będzie trwała.

Ogólnie licząc, wskaźnik cen osiąganych przez rolnika, za wszystkie produkty, w listopadzie r. z. wynosił 40, gdy jednocześnie wskaźnik cen towarów nabywanych przez rolnika wyrażał się liczbą 64 i pół. Rozpiętość więc między cenami rolniczymi i przemysłowymi była ogromna. Jeszcze bardziej niekorzystny był stosunek cen poszczególnych towarów przemysłowych do produktów rolniczych. A więc na przykład wskaźnik cen węgla, nafty i żelaza — wynosił w listopadzie 80, cukru, spirytusu i piwa — 71 i t. d. Jedynie wskaźnik cen odzieży i obuwia był stosunkowo niski, wynosił bowiem w listopadzie niespełna 47. Przy takim ustosunkowaniu cen, niełatwo będzie rolnikowi w tym roku „koniec z końcem związać".

Położenie poszczególnych rolników zależy przecież nie tylko od warunków ogólnych, lecz w dużej mierze także od warunków miejscowych oraz od umiejętności gospodarowania na roli. Wiadomo np., że rolnicy uzyskujący powyżej 15 kwintali zboża z hektara mają się znacznie lepiej, aniżeli ci, którzy zbierają 10 kwintali z ha lub mniej. Łatwiej również daje sobie radę rolnik osiągający 3 tys. litrów mleka na rok od krowy, niż jego bliski lub dalszy sąsiad zadawalniający się udojem tysiąca litrów. Podobnie przedstawia się sprawa z trzodą chlewną, z drobiem oraz z innymi działami produkcji rolniczej.

Istnieją też pewne gałęzie wytwórczości rolniczej, już od dłuższego czasu utrzymujące się na poziomie opłacalnym. Należy do nich: uprawa tytoniu, buraków cukrowych, rzepaku oraz dobrze prowadzone większe sady owocowe. W szeregu okolic, mających ku temu warunki, wielu rolników z wymienionych upraw czerpie poważne korzyści. Krótko mówiąc, umiejętne gospodarowanie na roli, nawet w dzisiejszych ciężkich czasach, daje na ogół niezłe wyniki.

Inż. W. Chmielecki

Z kraju i ze świata

Z Sejmu i Senatu: Prace budżetowe Izb Ustawodawczych toczą się już. W dniu 20 grudnia komisja budżetowa Sejmu rozpoczęła swe obrady szczegółowe nad budżetem na rok 1939-40, które, zgodnie z planem, zakończą się w dniu 8 lutego, po czym budżet przejdzie pod obrady plenum Sejmu. W związku z rozpatrywanymi budżetami poszczególnych resortów, posłowie mają sposobność wypowiadania swych uwag nad działalnością tych resortów. Jednym z bardziej ciekawych było posiedzenie komisji z dnia 20 stycznia, poświęcone bu-

dżetowi Ministerstwa Spraw Zagranicznych, kiedy zarówno przedstawiciel Ministerstwa, jak i referent budżetu, wicemarszałek Surzyński, poruszyli m. i. zagadnienia kolonialne i emigracyjne, stwierdzając, że zagadnienia te mają dla Polski niezmierną doniosłość. Podniesiona była przytem sprawa żydowska, co do której wicemarszałek Surzyński podkreślił, że musi być możliwie szybko załatwiona, zgodnie z interesami zarówno Państwa Polskiego, jak i samej ludności żydowskiej. Zresztą sprawa żydowska znalazła się i na porządku dziennym plenum sejmowego, gdyż w dniu 20 grudnia r. ub. została zgłoszona przez OZN interpelacja w sprawie środków, zmierzających do podjęcia i przeprowadzenia emigracji żydowskiej z Polski. Zagadnienie to wracało następnie w przemówieniu premiera Składkowskiego oraz szeregu posłów.

Stosunki sąsiedzkie Polski. Rokowania handlowe, rozpoczęte w Kownie w końcu listopada r. ub. doprowadziły dnia 22 grudnia r. ub. do zawarcia układu handlowego. Układ ten, oparty jest na klauzuli największego uprzywilejowania i przewiduje na razie wzajemne obroty w wysokości 14 milionów litów, to jest prawie 14 milionów złotych. Głównymi artykułami, które wywozić będziemy na Litwę, są: żelazo i wyroby metalowe, towary włókiennicze oraz produkty chemiczne. Z Litwy natomiast będziemy sprowadzać skóry surowe i obrobione, celulozę, len i siemię lniane. Układ zawiera również postanowienia, dotyczące tranzytu polskiego przez Kłajpedę oraz spławu drzewa na Niemnie. Znaczenie układu polega nie tylko na stosunkowo wysokiej cyfrze obrotów rocznych, ale i na tym, że zyskujemy w ten sposób nową drogę do Bałtyku.

Wielka ofenzywa gen. Franco, rozpoczęta w dzień wigilijny, przyniosła wojskom narodowym wielkie zwycięstwo. Oddziały gen. Franco posuwają się szybko naprzód, maszerując na główne miasto Katalonii, Barcelonę, i zajmują po drodze miasta i miasteczka, tak że już w dniu 16 stycznia w posiadaniu rządu narodowego znajdowało się blisko 285.000 km. kw., podczas gdy rząd barceloński posiadał tylko 135.000 km. kw. Gen. Franco sprawuje więc już władzę nad terytorium prawie dwa razy większym, niż rząd republikański.

To gwałtowne powodzenie gen. Franco wywołało zaniepokojenie Francji, która obawia się, że Włochy, umocniwszy swe wpływy w Hiszpanii, postawią mocno sprawę swych pretensyj do Francji. Przy tej sposobności opinia publiczna Francji zaczyna wyrzucać rządowi, iż lekceważył przyjaźń Polski, tracąc jej tak cenną na wypadek jakiegoś zatargu pomoc.

Wizyty polsko-niemieckie. W dniu 5 stycznia r. b. min. Beck złożył wizytę kanclerzowi Hitlerowi w Berchtesgaden. Wizyta ta wywołała wielkie zainteresowanie w Europie, gdzie robione są najrozmaitsze przypuszczenia na temat rozmów między obu mężami stanu, przy czym podnoszona jest rola Polski, jako ważnego czynnika w życiu międzynarodowym. W dniu 26 stycznia przybywa znów do Warszawy minister spraw zagranicznych Rzeszy von Ribbentrop. Jakkolwiek przyjazd jego ma charakter oficjalnej rewizyty min. Becka za podobny jego pobyt w Berlinie w początkach r. 1935, tym niemniej świadczy to o ciągłości poprawnych stosunków między Polską a Rzeszą, których podstawą jest deklaracja z dnia 26 stycznia r. 1934.

Rozrywki umysłowe



2. REBUS

Z podanego rebusu należy odczytać jeden wyraz o początkowej literze: **L.** **„Kasta"** (Otwock).

Za rozwiązanie rebusu Redakcja „Polski na Morzu" przeznacza 5 wartościowych nagród książkowych. Termin nadsyłania rozwiązania upływa 28 lutego 1939 roku. Rozwiązania należy nadsyłać do Redakcji „Polski na Morzu" z dopiskiem: **„Rozrywki Umysłowe".**

Rozwiązanie z Nr 12 podamy w następnym numerze.

Ślimacznicę z numeru grudniowego rozwiązało bezbłędnie 108 osób.

Nazwiska podamy razem z rozwiązaniem.

Nagrody niebawem wysyłamy przez pocztę; prosimy o potwierdzenie odbioru.

PRENUMERATA ROCZNA 2 ZŁOTE
Adres redakcji i administracji: Warszawa, Widok 10; telefony: red. 5-22-04, admin. 6-99-66.
WYDAWCA: Liga Morska i Kolonialna **REDAKTOR: Stanisław Szymborski**
Druk. Zakł. Graf. „Dom Prasy" S. A., Warszawa, Marszałkowska 3